

WSTĘP

Niewygodne pytanie

Za szpitalami nie przepada nikt, ale ja mam do nich szczególną awersję. Zapewne dlatego, że mój ojciec pracował jako onkolog. Kiedy byłem mały, zabierał mnie na obchód. Siedziałem sam w bufecie, gdzie jaskrawa barwa ścian oraz zapach kawy i strachu dręczyły moje zmysły, a on szedł do swoich pacjentów. „Będę za dwadzieścia minut” – mówił i znikał na dwie godziny, po czym wracał ze skruszoną miną. Okazywało się wtedy, że właśnie zmarł któryś z jego pacjentów. Zawsze ktoś umierał. I zawsze w szpitalu. Jako ośmiolatek wydedukowałem zatem, że jeśli będę trzymać się z dala od szpitali, nie umrę nigdy. I nie licząc złamania, które przytrafiło mi się, kiedy miałem siedemnaście lat, udało mi się zachować bezpieczny dystans.

Aż pewnego ładnego wieczoru w sierpniu, nie tak znów dawno temu, wyłądowałem na oddziale ratunkowym. Mój kolega Michael przywiózł mnie tam zgiętego wpół z bólu. Początkowo sądziłem, że to po prostu niestrawność, lecz dolegliwości zdawały się silniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Zrobiono mi prześwietlenie i tomografię, a później do gabinetu wszedł lekarz. Miał ponurą minę. Coś było nie tak, ale nie usłyszałem od niego żadnych konkretów. Patrzyłem na zmartwioną twarz doktora, czując narastającą panikę. Wezwano chirurga. Lekarz oznajmił, że musieli go wyciągać z proszonego obiadu, więc do mojego strachu dołączyło poczucie winy. „Niech pan tu poczeka” – powiedział, jakbym miał zamiar wynieść się stamtąd z wenflonem wiszącym u łokcia, zawinięty w szpitalny szlafrok. W zasadzie nie było się nawet w co zawijać, bo ta mizerna szmatka

nawet nie zasługiwała na miano szlafroka. Niewielką zatem miałem ochronę przed wysterylizowanym powietrzem w gabinecie.

Trząsałem się, po trosze z zimna, ale głównie ze strachu. Może to rak? Albo coś gorszego? Tylko co jest gorsze niż rak? Kiedy zacząłem się nad tą kwestią zastanawiać, do sali weszła pielęgniarka. Była mniej więcej w moim wieku. Sądząc z akcentu, mogła pochodzić z Karaibów albo z zachodniej Afryki. Nachyliła się nade mną, żeby pobrać krew, i zapewne wyczuła mój strach, bo przysunęła się i pozwoli, wyraźnie powiedziała coś, czego nigdy nie zapomnę:

– Czy odnalazłeś już swojego Boga?

Był to jeden z tych momentów, kiedy analiza czyichś słów zabiera znacznie więcej czasu niż zwykle. C z y o d n a l a z ł e m j u ż s w o j e g o B o g a ?

– Dlaczego pytasz? – wydusiłem w końcu z siebie. – Myślisz, że niedługo się z Nim zobaczę? Widziałas wyniki mojej tomografii? Wiesz coś?

Nie odpowiedziała. Rzuciła mi tylko długie, wszystkowiedzące spojrzenie i wyszła, zostawiając mnie z mętlikiem w głowie i marną namiastką szlafroka. Zdawałem sobie sprawę z tego, że takie pytania nie należą do rutynowych w czasie badań, nawet w szpitalu Świętego Krzyża. W głosie pielęgniarki nie było oskarżenia ani złośliwości. Zapytała mnie szczerze i po prostu, może nie tym samym tonem, jakim powiedziałyby: „Czy znalazłeś już kluczyki do swojego samochodu?”, ale prawie. Wyczułem w tym pewną dozę matczynej troski i cichą pewność kogoś, kto już s w o j e g o B o g a odnalazł.

Moja wizyta na oddziale ratunkowym skończyła się kilkudniowym pobytem w szpitalu. Zrobiono mi badania, pobrano trochę krwi. Okazało się, że nie mam ani raka, ani niczego gorszego (nie udało mi się wymyślić czego). Był to tylko niezwykle ostry i przewlekły przypadek... gazów. Tak, gazów. Ewidentnie moja okrężnica kiepsko znosiła stres związany z niemożliwymi terminami i redaktorem tyranem. Moje problemy, jakby to powiedzieć, szukały ujęcia.

Po kilku tygodniach wróciłem do zdrowia, lecz słowa tamtej pielęgniarki zapadły mi w pamięć, wypaliły się w niej niczym obraz, któ-

ry za długo wyświetlano na ekranie telewizora. Czy o d n a l a z ł e ś j u ż s w o j e g o B o g a? Użyła tych właśnie słów. Nie spytała, czy znalazłem już j a k i e g o ś Boga ani p r a w d z i w e g o Boga, ani nawet Boga po prostu, tylko s w o j e g o Boga, jakby gdzieś czekała istota wyższa zarezerwowana specjalnie dla mnie.

Staralem się o tym zapomnieć. Powiedziałem sobie, że nie ma czego szukać i że nie istnieje żaden Bóg, którego mógłbym odnaleźć. Daj sobie spokój! Wracaj do swoich książek i dobrej whisky. Wracaj do „świata prochu”, jak Chińczycy nazywają codzienność. I udawało mi się zapomnieć. Na chwilę.

Pytanie pielęgniarki wracało jednak do mnie, ryjąc w mojej głowie jak kret. Kim lub czym tak naprawdę j e s t mój Bóg? Urodziłem się w żydowskiej rodzinie. Ten fakt ma wpływ na moje religijne korzenie, ale niekoniecznie na moją percepcję Boga. Prawda jest taka, że mam wątpliwości co do istnienia wyższego bytu. Nie nazwałbym się jednak ateistą. Za tą nazwą kryje się zbyt wiele chłodnej pewności siebie, a ja nie mam pewności w ż a d n e j sprawie. Nie wiem, co myśleć o skarpetkach w romby. O mleku sojowym. Skąd mam wiedzieć, czy istnieje jakiś Bóg?

A może jestem agnostykiem? Termin ten znaczy dosłownie: „ktoś, kto nie ma wiedzy” i muszę przyznać, że dość trafnie mnie określa, przynajmniej w kwestii wiary. Niemniej dla mnie agnostyk to tylko nie do końca przekonany ateista, starający się zabezpieczyć, na wypadek gdyby się okazało, że wszechmocny Stwórca, zdolny dać mu wieczne szczęście, jednak istnieje. („Widzisz, Panie, mam tu napisane »agnostyk«. To mnie kwalifikuje do kolejki po wieczne szczęście, prawda?”). Poza tym postawa agnostyczna zakłada nie tylko stwierdzenie: „nie wiem, czy Bóg istnieje”, lecz także: „niezbyt mnie to obchodzi”. Drobnie krople niewiary napędzają młyn samospełniającej się przepowiedni. Niewykluczone, że jeżeli cały czas będziemy wątpić w istnienie Boga, w końcu stanie się to faktem.

Być może zaliczam się do elastycznej kategorii wierzących, ale niepraktykujących. Tacy ludzie śmiało czerpią z rozmaitych tradycji i kultur, jednocześnie odzęgając się od wszystkiego, co trąci indok-

trynacją albo – Boże uchwaj – jakimś konkretnym wyznaniem. Wierzącym, ale niepraktykującym smakuje joga bez hinduizmu, medytacja bez buddyzmu, judaizm bez Boga. Takie podejście brzmi bardzo kusząco. Wydaje się proste, a któż z nas nie lubi prostych rozwiązań? Sęk jednak w tym, że wiara bez praktyki jest z b y t łatwa, zbyt wygodna. I jakoś kojarzy się ze zdrową żywnością. A ja nie byłbym w stanie zrezygnować z kofeiny.

Skoro żadna z gotowych kategorii do mnie nie pasuje, to chyba muszę wymyślić nową: dezorientacjonizm. Dezorientacjoniści, jak sama nazwa wskazuje, są kompletnie zdezorientowani w kwestiach dotyczących Boga i religii. Zapewne myślicie sobie teraz, że dezorientacjonizm to tylko bardziej wymyślny synonim agnostycyzmu, ale nie macie racji. Nam, dezorientacjonistom, brakuje zadowolenia z własnej niepewności, które cechuje agnostyków; jesteśmy jakby preagnostykami, niepewnymi nawet tego, c z e g o dokładnie nie jesteśmy pewni. Podnosimy ręce i wołamy ku niebu: „Nie mamy zielonego pojęcia, jakie są nasze poglądy religijne. Nie wiemy nawet, czy w ogóle jakieś mamy, ale jesteśmy otwarci na niespodzianki i wierzymy – albo raczej: żywimy nadzieję – że nasze życie ma jakiś głębszy sens”. Tyle jesteśmy w stanie powiedzieć, a jakiegokolwiek próby sprecyzowania tej deklaracji dezorientują nas jeszcze bardziej.

Winą za moją dezorientację, jak zresztą za większość moich wad, obarczam rodziców. Wychowałem się w zeświecczonej rodzinie, w której imienia Boga wzywano tylko wtedy, gdy ktoś walnął się w nogę („Kto, na Boga, postawił tutaj to krzesło?!”) lub spróbował czegoś wyjątkowo smacznego („O Boże, ale to pyszne!”). Byliśmy „żydami kulinarnymi”. Jedliśmy bajgle z wędzonym łososiem, sałatkę rybną, chałkę, placki ziemniaczane, *hamantasze* i rogaliki. Jeśli coś było koszerne, było żydowskie, a zatem miało coś wspólnego z Bogiem. W moim odczuciu nie mieszkał on ani w Niebie, ani w Otchłani, lecz w Lodówce, gdzieś między twarogiem a sosem do sałatek. Nasza duchowość ograniczała się w zasadzie do wiary w jadalne bóstwo.

Oczywiście raz w tygodniu chodziłem na religię (rodzice zapisali mnie na te lekcje w zgodzie z inną żydowską tradycją, którą się u nas

praktykowało – poczuciem winy). Odgrywało to jednak znacznie mniej istotną rolę w moim życiu niż, dajmy na to, śniadania. Nie sądziłem, że starożytni żydzi, niemający nawet wystarczającej wiedzy, by wynaleźć kanalizację, mogli mnie czegokolwiek nauczyć. Cała moja rodzina raz w roku, z okazji Jom Kippur, Dnia Pojednania, chodziła do synagogi. Nie bawiło mnie to wcale. Musiałem wkładać niebieski garniturek z poliestru i przypinany krawat, a wszyscy dorośli byli w kiepskich humorach, zapewne z powodu postu. Już sama ta idea wydawała mi się naprawdę dziwna. Jak mówiłem, Bóg kojarzył mi się głównie z jedzeniem, nie mogłem więc zrozumieć, dlaczego podczas największego święta w żydowskim kalendarzu ludzie muszą chodzić głodni.

Lata pracy w charakterze korespondenta National Public Radio również nie przyczyniły się do rehabilitacji Boga w moich oczach. Przekonałem się, jak paskudne czyny są popełniane w Jego imieniu. Przez jakiś czas mieszkałem w Jerozolimie, mieście pokoju, które ani trochę nie zasługuje na tę nazwę. Nawet (czy może raczej s z c z e - g ó l n i e) ślepiec dostrzegłby napięcie wiszące nad tym miastem jak smog nad Los Angeles. Potworny huk izraelskich myślicieli przekraczających prędkość dźwięku przeplatał się tam z hukiem towarzyszącym śmierci kolejnego młodego Palestyńczyka, który wyszedł na ulicę owinięty materiałami wybuchowymi. Oba dźwięki były tak podobne, że my, dziennikarze, opracowaliśmy własną technikę ich selekcji, opartą na słuchu. Jeżeli po huku następowało wycie silników, mogliśmy spokojnie cieszyć się poranną kawą. Kombinacja huku i syreny alarmowej rozpoczynała szalony wyścig na miejsce zdarzeń.

Mieszkałem również w Indiach, gdzie bóstwa tłoczą się jak nigdzie indziej (jest ich tu podobno aż trzysta trzydzieści milionów!). Wprawiało mnie to raczej w zakłopotanie. Raz uczestniczyłem w Kumbhameli, hinduistycznym święcie, na którego obchody jakieś osiemnaście milionów ludzi zjeżdża nad rzekę Ganges. Pielgrzymi podróżują kilka dni, aby zanurzyć się w brudnej, słonawej wodzie. Podobno przynosi to szczęście i zdrowie. „Jasne – pomyślałem

wtedy – chyba że wcześniej umrze się na czerwonkę”. „To kwestia wiary i niczego innego – wyjaśnił mi wówczas jeden z podtopionych pielgrzymów. – Czy to nie wystarczy?” Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Przypomniały mi się słowa Hucka Finna: „Nie można kłamać w modlitwie”. Lecz jakie miałem prawo wyrokować, co jest kłamstwem – ja, cudzoziemski dziennikarz, dzierżący swój mikrofon niczym karabin? Niedługo później pojechałem z pewnym indyjskim dramaturgiem z wyższych sfer na obchody święta Aszura, którym szybcy muzulmanie upamiętniają śmierć Al-Husajna, wnuka proroka Mahometa. Dramaturg wysiadł ze swojej terenówki, zdjął koszulę od Ralpa Laurena (złożył ją starannie i położył na tylnym siedzeniu), po czym wziął długą metalową różgę i zaczął okładać się po plecach, aby na własnej skórze poczuć ból Al-Husajna. Dziesiątki zgromadzonych tam mężczyzn robiły dokładnie to samo. Poczułem, że na twarzy osadza mi się drobna czerwona mgiełka. To była krew, spadająca z nieba niczym deszcz. W Indiach zatęskniłem za Bogiem z Lodówki.

Zawsze byłem racjonalistą. Wierzę w wartość rozumu i jego owocu – nauki, lecz nie jestem pewien, czy sam rozsądek jest w stanie dać mi radość i spełnienie. Nie wydaje mi się, by ktokolwiek w historii ludzkości logiczną perswazją wprowadził się w stan niczym niezmaconego szczęścia. Rozum jest świetnym narzędziem do rozwiązywania problemów, ale niespecjalnie pomaga w podjęciu decyzji, które problemy wymagają rozwiązania i dlaczego. To doskonały podwładny, lecz kiepski przełożony. Nie jest w stanie wytłumaczyć doznań „zbijających z tropu nasz intelekt, lecz uspokajających serce”, jak to ujął filozof Gilbert Keith Chesterton.

Wierzę również w potęgę słowa. Przez wiele lat kierowałem się, o ile w moim przypadku można mówić o jakimś kierunku, tą samą filozofią co słynny amerykański mitoznawca Joseph Campbell. Zapytany kiedyś o swoje praktyki religijne, odpowiedział: „Podkreślam zdania w książkach”. Ja też jestem podkreślaczem. Poza tym również zakreślam, zaznaczam na kolorowo, notuję na marginesach oraz zaginam rogi kartek. Nie do końca wiem, dlaczego tak robię – może jestem

jak kot, który lubi zaznaczać swoje terytorium? A może dopiero podkreślenie danego fragmentu czyni go prawdziwym w moich oczach i pozwala mi zrozumieć, że od dawna myślałem w ten sposób? Akt podkreślenia czegoś zawsze niesie ze sobą element samopoznania.

Czytam i podkreślam wszystko, co mi wpada w ręce, lecz szczególnie słabość mam do poradników. Kocham tego typu książki, chociaż czytając je i kupując, daję światu do zrozumienia, że sam sobie nie radzę. Dlatego właśnie moja żona każe mi trzymać całą kolekcję tego typu literatury w piwnicy, aby goście przypadkiem nie pomyśleli, że wyszła za kogoś, kto potrzebuje porady dosłownie we wszystkich dziedzinach życia.

Mimo ciągłego podkreślania, a może właśnie za jego sprawą, nigdy nie poczułem się bogatszy duchowo. (Już samo to określenie wydaje mi się niewłaściwe, bo czyż życie duchowe nie zakłada oderwania się od takich prozaicznych koncepcji jak majątek?). Owszem, książki dawały mi czasem wspaniałe chwile zrozumienia. Czytałem i podkreślałem jakąś zgrabną sentencję Mistrza Eckharta czy Gandhiego, myśląc: „Jasne, teraz rozumiem! Łącząc się z boskością, wykraczamy poza naszą dwoistość”. A później spędzałem dwie godziny, deliberując, czy lepiej zamówić sobie w sklepie internetowym torbę ciemnozieloną czy khaki, albo gapiąc się na pieprzyk na szyi i zastanawiając się, czy to tylko znamię czy ostatnie stadium czerniaka. Książki nie pomogły mi na chorobliwy strach przed śmiercią ani na lekką, choć długotrwałą depresję, aż w końcu zacząłem podejrzewać, że czytam o tych wszystkich mądrych koncepcjach właśnie po to, aby uniknąć prawdziwych duchowych przeżyć. Ta teoria wydawała mi się sensowna. Nawet przeczytałem o tym książkę i podkreśliłem w niej wiele fragmentów.

Nie zrozumcie mnie źle – moje życie nie ogranicza się tylko do książek. Czasem zdarza mi się wyjść z domu i ukradkiem spojrzeć na duchowość innych ludzi. Lubię się przyglądać, aczkolwiek zachowując bezpieczny dystans. Jestem jednym z tych, którzy stają tuż przy drzwiach synagogi albo sali medytacyjnej, planując szybką ewakuację, jeśli tylko zrobi się nudno lub trochę dziwnie. Albo jeśli zaistnieje ryzyko, że poczują coś naprawdę. Tacy jak ja mamrocą

modlitwy na tyle wyraźnie, żeby nie zwracać na siebie uwagi, ale wystarczająco niedbale, by nie zastanawiać się nad ich znaczeniem. Nawet gdy modłę się w ciszy, czuję się jak duchowy oszust, czekający tylko, aż ktoś go zdemaskuje.

Taki więc byłem odrobinę ciekawy Boga, lecz nie na tyle, aby cokolwiek z tą ciekawością zrobić. W najlepszym razie duchowy podglądacz, w najgorszym – hipokryta. Ktoś, kto teoretycznie wkroczył już w okres nazywany przez Dantego wiekiem mądrości, zaczynający się jakoby w czterdziestym piątym roku życia. I to mi pasowało. Aż do teraz. Co się zmieniło? Może to przez tę przygodę z gazami albo żaloszny stereotyp kryzysu wieku średniego? Niewykluczone, że to przez rodzicielstwo. Wychowywanie dziecka zmusza człowieka do zastanowienia się nad egzystencjalnymi kwestiami, które do tej pory trzymał zamknięte w jakimś ciemnym kącie umysłu. Jak chcę wychować swoją córkę? Na „kulinarną żydówkę”, tak jak mnie wychowano? Na kogoś więcej, a może mniej uduchowionego? Dzieci są szczerze do bólu i zadają pytania, których dorośli nie mają odwagi lub czelności postawić. Moja córka nie jest tu żadnym wyjątkiem.

– Tato? – zagadnęła mnie pewnego razu, niedługo po moim powrocie ze szpitala.

Jechaliśmy na rodzinnym tandemie. Ja siedziałem z przodu z kierownicą w rękach, a ona z tyłu, pracowicie pedałowując.

– Tak, Sonyu? – Właściwie to spodziewałem się kolejnego pytania o pupę. Moja córka weszła właśnie w tę fazę rozwoju, kiedy chce się wiedzieć wszystko na temat tej części ciała. Czekало mnie jednak zaskoczenie, zresztą nie pierwszy raz.

– Czy Bóg jest za nas odpowiedzialny?

Z wrażenia prawie wywozłem nas na szosę. Do głowy przyszły mi jednocześnie dwie rzeczy. Po pierwsze: skąd u pięciolatki takie poważne teologiczne przemyślenia? Po drugie: oto nadszedł jeden z tych momentów w życiu rodzica, kiedy dostaje się szansę, by przekazać dziecku okrusz prawdziwej mądrości, zainspirować i ukształtować jego światopogląd w taki sposób, by w przyszłości zaowocował (albo zrobić z siebie kompletnego idiotę).